ROK II. Nr. 43 (92) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 26 października 1930 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



POTĘGA SZKOŁY POLSKIEJ: WŁADEK WALTER ZŁAPANY NA GORĄCYM UCZYNKU „ŚCIĄGANIA" OD MAŁEGO WAWKA WALTERA. (Fot. Dorys).



W 25-LECIE KRUCJATY DZIECI

„Naród żyje, dopóki język jego żyje. Bez języka narodowego niema narodu".

Karol Libelt.

Walka o szkołę polską, podjęta przed 25-u laty i przeprowadzona głównie p r z e z młodzież, odegrała niezmiernie ważną rolę dla kształtowania się myśli politycznej w kraju, szkoła bowiem stała się placówką walki z zaborcą na terenie Kongresówki. Walka ta miała na celu nietylko obalenie szkoły rosyjskiej, ale przedewszystkiem godziła w państwowość rosyjską i rządy obce na ziemiach polskich. Doskonale zdawano sobie z tego sprawę i z tej i z tamtej strony, a dowodem tego, jakie znaczenie przypisywały szkole rosyjskiej sfery rządzące będą chociażby słowa wygłoszone publicznie w r. 1884 podczas obchodu 50-lecia gimnazjum radomskiego przez jego dyrektora, Smorodinowa.

„Zakłady naukowe warszawskiego okręgu naukowego mają do spełnienia podwójne zadanie: nauczać oraz rozwijać w młodzieży polskiej uczucia najwyższego wiernopodańczego oddania się tronowi, bezgranicznej, wszystko poświęcającej, miłości do Rosji, której sława, szczęście i pomyślność, jest sławą, szczęściem i pomyślnością Jej poddanych; uczyć kochać język rosyjski, jako język państwowy, oraz najbogatszy, najpotężniejszy ze wszystkich języków słowiańskich".

Zdobywając szkołę polską, młodzież spełniła czyn obywatelski i pomimo nawet, że szkoła ta była pozbawiona praw — dumniśmy byli ze swego dzieła i tem serdeczniej ukochaliśmy szkołę, że wszyscy wiedzieliśmy — i ci z postrajkowych, młodszych pokoleń — iż nie otrzymaliśmy szkoły, a wywalczyliśmy ją sami.

W walce tej, którą po zdobyciu szkoły prowadziliśmy przez szereg lat aż do radosnej chwili opuszczenia kraju przez zaborcę, broniąc ją i ochraniając, kształtowały się charaktery młodzieży. Mocniejsi trwali na stanowisku, ciągnąc za sobą mniej mocnych — słabsi odpadali i społeczeństwo wreszcie, którego większość przez dłuższy czas była przeciwna strajkowi, zostało wciągnięte do walki o utrzymanie zdobyczy uzyskanej dzięki krucjacie dzieci.

Niepodobna pominąć milczeniem stanowiska, jakie w tej sprawie zajęły niektóre odłamy społeczeństwa, a nawet niektórzy z najwybitniejszych jego przedstawicieli z... Henrykiem Sienkiewiczem na czele.

Oto naprzykład zdanie wielkiego naszego pisarza: *„Upominanie się z całą siłą, wszelkiemi sposobami i na wszelkich drogach o szkoły polskie, a jednocześnie nie dozwolić, aby całe młode pokolenie marnowało się bez ratunku i nie zacinać się w wielkim i nieszczęsnym narodowym błędzie — oto jedyne wyjście z manowców"* (List H. Sienkiewicza do A. Krasińskiego).

Podobny pogląd wypowiada Ignacy Chrzanowski: *„Mojem zdaniem strajk jest szkodliwy i do upragnionego celu nie prowadzi i dlatego nie wahałem się na lutowym wiecu rodzicielskim wcale niedwuznacznie wystąpić przeciwko strajkowi".*

Z pewnością nic innego, jak serdeczna troska o losy młodzieży dyktowała tym ludziom podobne opinje. Obawa, aby młodzież, działając przy poparciu radykalnie usposobionych kół i zapoznając się z ich kierunkami, nie została wciągnięta do pracy politycznej. Obawa jednocześnie, aby młodzież nie została skazana na nędzę, a dzięki niej zepchnięta na manowce.

Oto co pisał w tej sprawie Bolesław Prus w r. 1911, komentując przeczytaną korespondencję Auerbacha (St. Aubac'a) o ciężkich warunkach materjalnych, w których wegetuje akademicka mło-



dzież nasza poza granicami kraju.

„...Stawiam dwa wnioski:

1) aby młodzież uboga nie wyjeżdżała zagranicę, gdzie może się zmarnować. Jest to obowiązek rozsądku społecznego;

2) aby zaprzestano szykanować młodzież polską, uczęszczającą do uniwersytetu warszawskiego, to bowiem, co się dziś dzieje, jest jaskrawem zaprzeczeniem nietylko interesu rozsądku, nietylko interesu społecznego, ale nawet prostej przyzwoitości, a może i uczciwości".

Akcja sama przeprowadzona została w żywiołowem tempie.

Koniec stycznia i pierwsze dni lutego pamiętnego 1905 roku były właśnie tym najburzliwym okresem, który zadecydował o wszystkiem. 28-o stycznia wyszła o d e z w a „Z w i ą z k u Unarodowienia Szkoły", nawołująca rodziców do podpisywania odezwy ze stanowczem żądaniem polskiego języka wykładowego, a największem wydarzeniem z dziejów walki o szkołę był wiec, odbyty w Warszawie 19 lutego 1925 r. w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa.

Przeszło 3000 osób wzięło udział w tej manifestacji, na którą przybył, w nadziei opanowania ruchu, sam pan kurator Szwarc.

W tydzień później zadecydowano rozszerzenie strajku na wszystkie szkoły prywatne. Cały kraj pokrył się gęstą siecią kompletów, na których wykładowcami byli nauczyciele lub starsi uczniowie.

Minęło kilka miesięcy — a na jesieni szkoła polska prywatna — acz pozbawiona praw — otworzyła swoje podwoje.

Krucjata dzieci przeciw Apuchtinom i Szwarcom przysporzyła krajowi piękną zdobycz...

W roku bieżącym upływa 25-lecie Strajku Szkolnego w byłem Królestwie Polskiem i otwarcia pierwszej wywalczonej szkoły polskiej.

Uczcić 25-lecie Walki o Szkołę Polską, uczcić bohaterstwo dzieci wrzesińskich, uczcić śmiały bunt najmłodszych pokoleń, walczących o polską religję na Podlasiu i na Polesiu, uczcić tę wielką wojnę, którą młodzież polska wydała zaborcy w r. 1905, stawiając żądania polskich szkół — możemy tylko jednem: dalszą walką o szkołę polską dla tych, co jej nie mają — dla Polaków zamieszkałych poza granicami państwa.

Siedem miljonów Polaków żyje poza granicami Państwa na terenach etnicznie i historycznie polskich, które nie weszły w skład Państwa Polskiego, oraz na emigracji. Ponadto Polska rok rocznie wysyła w świat falę dwustu tysięcy wychodźców. Walka o mowę ojczystą, o duszę polskiego dziecka wre tam z takiem samem zapięciem jak u nas, gdyśmy opuszczali mury szkoły rosyjskiej.

Obca szkoła wynaradawia dziecko, pomaga jej w tem obcy Kościół, obcy świat ekonomiczny, pod którego naciskiem ugina się szara masa naszego chłopsko-robotniczego wychodźstwa.

Niech w tym roku czci mowy ojczystej, przez pamięć walk o nią dokonanych, przez ukochanie krwią pulsującej jej teraźniejszości, stanie pomnik wieczno-trwały:

FUNDUSZ SZKOLNICTWA POLSKIEGO
POZA GRANICAMI PAŃSTWA
DAJCIE GROSZ OFIARNY

Gdy zobaczycie kursującą listę składkową, stańcie się jej opiekunami; żądajcie, by na każdym rachunku, który płacić będziecie Wy, lub Wasi znajomi, był znaczek na szkołę polską.

Kupujcie wyroby monopolowe, na których jest nalepka Komitetu; jeśli jesteście kupcami, starajcie się, aby tylko takie sprzedawano.

Tysiące dziecinnych rąk wyciąga się ku Wam, ku Polsce z najdalszych zakątków świata z prośbą o polskie szkoły, o dobro mowy ojczystej!



Potomek Mahometa, Sayed Saduka Alawa w powrotnej drodze z Mekki gości w Cape Town.



Ceremonja ślubna króla Borysa odbędzie się w starożytnym kościele Św. Franciszka z Assyżu w Assyżu.



W Zagrzebiu otwarto przed paroma tygodniami wystawę pracy i grafiki jugosłowiańskiej. Jak widzimy na fotografji dorobek kulturalny zaprzyjaźnionego z nami państwa przedstawia się imponująco i wymownie świadczy o niezwykłej żywotności narodu.



Misiu - cukru! Jak wiadomo, dla wszelkich imprez, wymagających wysiłku mięśni lub nerwów, koniecznym jest cukier. — Nasi rowerzyści, biorący udział w Biegu do Morza, zaopatrzeni byli obficie w cukier, a napotkawszy misia, prezes Warsz. Okr. Cykl. p. Bednarski raczy go cukrem.



Nowy dowódca K.O.P'u. pułk. Kruszewski.



Zarząd świetnego wioslarskiego zespołu W. K. W. poznańskiego z prezesem, mjrem Fliszarem na czele.



W ub. tyg. zmarł zasłużony superintendent zboru ewang. ś. p. Semadeni.

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI.

Daduchna już nie tańczy

Panna Dada (w kołach najbliższych znajomych Daduchna) zaczęła tańczyć publicznie, mając lat 14. Nóżki miała urocze, była smukła, wiotka, podobała się nadzwyczajnie. Dorósłszy do lat 16-tu zaręczyła się poraz pierwszy, z porucznikiem. Rodzice Daduchny wzruszali ramionami, ale Daduchna uparła się, że musi, bo to na całe życie. Po karnawale rzecz się, oczywiście, rozchwiała, bo i on był smarkacz, ledwo mu się wąs puszczał, a przytem wypadły jakieś manewry, gry wojenne, czy coś takiego. Daduchna bardzo nad tem bolała, w Krynicy, dokąd ją rodzice wywieźli na „Nachkhr", z nikim się znać nie chciała, całemi dniami chodziła w pull-overach, wełnach i tympodobnych negliżach, a jeden jedyny raz, kiedy ją zniewolono na dancing, poszła ubrana, jak mniszka, piła tylko grenadinę, ani kropli alkoholu, i rozmawiała z mężczyznami przez zęby.

Przyszedł jednak następny karnawał, Daduchna otrząsnęła się z odrętwienia — i znowu zaczęła tańczyć. Między listopadem a marcem była na 165-ciu balach i dancingach. Wobec tego, że w 150 dni tańczyć 165 razy to już prawie wyczyn — dostała nerwicy serca i pojechała nad jeziora włoskie, z ciotką Hersylją. Pojechała z ciotką Hersylją, ale djabli nadali, że w hotelu, gdzie te panie zamieszkały, zamieszkał również maharadża Purtalali, młodzian śniady i przedziwnie fotogeniczny. Daduchna zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Tańczyli od rana do wieczora i od wieczora do rana. Maharadża oświadczył się ciotce Hersylji o rękę Daduchny. Poszła nawet depesza do Warszawy. Rodzice Daduchny szykowali się już do wyjazdu i załatwiali wizy: austrjacką, czeską, włoską... Raptem bomba wybuchła. Wyszło na jaw, że maharadża Purtalali ma harem i nie zamierza go wcale likwidować. Wobec tego Daduchna zerwała z nim, i wróciła, z rozdartem sercem do Warszawy. Tak to mocno odczuła, że się zapisała na kursa buchalteryjne.

* * *

Chciał jednak los, że na te same kursa buchalteryjne zapisał się, sprzykrzywszy sobie życie, pewien młody arystokrata, któremu rodzina obcięła apanaże (jego romans z girlsą był już zbyt głośny!) i młody arystokrata postanowił swoją podłą rodzinę raz na zawsze s k o m p r o m i t o w a ć. Chadzali tedy oboje, Daduchna i on, cztery razy na tydzień, na owe kursa buchalteryjne, siadali bladzi i zamyśleni na ławach, wedle stolików, i gryzmolili:

„Potwierdzając niniejszem odbiór Waszego z dnia... mamy zaszczyt urgować o odwrotne potwierdzenie zamówienia z dnia..." i t. d.

Rzecz prosta, że zarówno Daduchna, jak młody hrabia Kajetan Pietuchowicz (Pietuchowicz się nazywał) mieli przytem wyraz twarzy cierpiący i daleki. A koledzy i koleżanki, podziwiający j ą i j e g o (j e j pończochy, j e g o krawaty) szeptali:

— Zobaczycie, że to będzie para.

Jakoż stało się. Młody Pietuchowicz powiedział pewnego dnia do Daduchny, że mu jest wszystko jedno, że się i tak kokainizuje, ludźmi gardzi, z jednym swoim przyjacielem, Mikiem Gorayskim, wczoraj rozmawiał o życiu i doszedł do wniosku, że to nic nie warte, wobec czego może z nią mieć romans, a nawet ewentualnie, coś więcej. Daduchna odpowiedziała chłodno, że mężczyzn nienawidzi, romansów nie uznaje, z małżeństwa nic sobie nie robi. Ale zgodziła się z hrabią Kajetanem pod jednym względem, że życie nic nie warte. Wobec tego pojechali razem, ostentacyjnie, do Europy, na cocktail.

* * *

Widziała ich tylko jedna wspólna znajoma, pani Niuta Mordalska. Ale to wystarczyło. Już nazajutrz gruchnęło po Warszawie, że Dada jest na utrzymaniu hrabiego Pietuchowicza. Zrobił się bigos, Heniek Fryszman, gentleman w każdym calu, dał słowo honoru, że widział Dadę o 5-ej rano, wychodzącą z garsońjery Kajetana. Gdzie się znajduje ta garsońjera? — powiedzieć niechciał. Ale wszyscy mu i tak uwierzyli, skoro dał słowo honoru. Dada była skompromitowana. Okólnemi drogami doszło to do rodziców Dady, w formie, rzecz prosta łagodniejszej. Kuzynka Figa podała im to w sosie ekstrawagancji.

— Czy wiecie — powiedziała pogodnie, — że ta warjatka Dada bywa podobno, sama jedna, u Pietuchowiczów?

— U których? — zdziwił się ojciec Dady.— U tych z Alei, czy u tych z Wiejskiej?

— U tych z Królewskiej! — rąbnęła na chybił-trafił, anielska Figa.

Oczywiście nastąpiła konsternacja. Na Królewskiej żadni Pietuchowiczowie nie mieszkają. Zaczęły się wywiady, wypytywania. Dada, przyparta do muru, musiała się przyznać, że faktycznie, jeden jedyny raz, piła „Martini", o godzinie 7-ej, w Europie...

— Shańbiłaś nasze nazwisko! — ryknął ojciec Dady, wielki tradycjonista: — Boże, zaco mnie pokarałeś taką córką! Najpierw, o mały włos, nie wpadła w sidła handlarzy żywym towarem (No, przesada! Maharadża Purtalali nie był żadnym handlarzem...) — a teraz c h o d z i z tym chłystkiem niedowarzonym!

Dada zbladła.

* * *

No, i Daduchnę poniosło. Tańczyła od rana do wieczora. Tańczyła prywatnie, publicznie, zrana, wieczorem, w nocy. Tańczyła ze znajomymi i nieznajomymi, z amatorami i profesjonałami, tańczyła do utraty tchu i przytomności, tańczyła przy dźwiękach jazzu, i przy gramofonie, a nawet, kiedy-niekiedy, wziąwszy na kieł, bez muzyki, sama jedna, jak derwisz tańczący...

Linja jej kibici, z natury wiotka, zrobiła się prawie idealną. Nogi, z natury muzykalne, zrobiły się wprost gienjalnemi. Wogóle, zanosiło się na to, że albo rzeczywiście z a t a ń c z y s i ę n a ś m i e r ć, albo wpadnie w galopujące suchoty.



Tymczasem więc rodzicie Daduchny — dobra, ale słaba matka, i mocny, ale za bardzo zajęty ojciec, wpadli w czarną rozpacz. Nawet się zastanawiali nad tem, czyby Dady nie umieścić, wolą-niewolą, w jakim domu zdrowia, albo w klasztorze o bardzo surowej regule?

* * *

I nagle — wyobraźcie sobie! — Daduchna przestała tańczyć. Spadło to na nią nagle, jak objawienie.

Któregoś dnia przyszedł do rodziców Dady młody Wacio Kierowicz, kuzynek Dady. Przypadkowo zastał całą rodzinę w komplecie.

— Coś ty, Dada, taka cienka? — zapytał.

Dada nie odpowiedziała ani słowa, tylko zapaliła niedbale papierosa, ale rozgadała się zato mama Dady, i papa Dady.

— Nie masz pojęcia, co ona wyrabia? — zaczęli oboje naraz.

I zaczęły się skargi na Dadę. Że się najpierw zaręczała, jak warjatka, potem kochała, jak głupia, potem zadawała z bylekim, jak idjotka, potem raz wpadała w ascezę, jak mniszka to znów latała po dancingach, jak kokotka... No, a teraz fika nogami od rana do wieczora i od wieczora do rana, i straciła już 12 kilo, i waży tylko 46, i jak tak dalej pójdzie, to albo umrze na anewryzm, albo się zupełnie z d e m a t e r j a l i z u j e.

Wacio Kierowicz słuchał, słuchał, uśmiechał się, kiwał głową, aż wreszcie, wysłuchawszy do końca tych rodzicielskich jeremjad, zwrócił się do Dady.

— Dziwię ci się, że nie grasz w brydża.

Daduchna zmierzyła go wzrokiem, od stóp do głów.

— Pyszny jesteś! — parsknęła. — Taka piła? Myślisz, że jabym mogła grać w te przebrzydłe, nudne, kretyńskie karty?

Wacia aż zatkało. Wstał. Powiedział solennie:

— Zato, żeś się odważyła nazwać brydża k r e t y ń s k ą grą, miałbym prawo zażądać satysfakcji, bo to jest największa i najpiękniejsza zdobycz ludzkości. Daruję ci jednak, bo jesteś kobietą. Ale wiedz, że odtąd między nami wszystko skończone!

I wyszedł.

* * *

Na Dadzie męskie, odważne postąpienie Wacia zrobiło, mimo wszystko, niejakie wrażenie. Dwa dni biła się z myślami, aż zdecydowała. Ostatecznie, jeżeli ktoś mówi o grze w karty, że to jest „największa i najpiękniejsza zdobycz ludzkości", to w tem jednak coś musi być. Hm... Ostatecznie... Dlaczego nie spróbować nauczyć się brydża?

* * *

No, i D a d u c h n a j u ż n i e t a ń c z y. Zato od rana do wieczora i od wieczora do rana — gra w brydża. Ma przytem wyraz twarzy wniebowzięty i zachwycony. Przycichła. Jak to zwykle bywa z osobami, które nawróciły się późno i tem gorliwiej wyznają nową wiarę — ma Daduchna w sposobie bycia coś, co musieli mieć chyba pierwsi chrześcijanie. Jest cicha, skupiona, w sobie zamknięta. Od wewnątrz, bije z Daduchny wielkie światło. Kiedy mówi:

— B e z a t u —

mówi to tak, jakgdyby mówiła:

— Kocham!



Marta Hanau.

Przez czyściec kryminału — na wyżyny...

(Marta Hanau rediviva).

Pozwolimy sobie przypomnieć przedewszystkiem, kim jest Marta Hanau.

Co to mówić — Zuch baba! *Hic mulier!* Kobiecina, która od paru lat zaledwie zasłynęła na gruncie paryskim, jako redaktorka i wydawczyni „La Gazette du Franc", pisma połączonego z instytucją bankową, która pochłonęła setki miljonów oszczędności ludzkich... dostała się do więzienia wraz z kilkoma spólnikami i figurantami w spodniach.

Nie ważne.

Tamci siedzą, a Marta Hanau, której perypetje więzienne cały Paryż śledził z zapartym tchem — głodówka, ucieczka z więzienia, dobrowolne poddanie się wyrokom Sprawiedliwości — Marta Hanau została wypuszczona z kryminału i otworzyła nową instytucję finansowo-prasową, którą nazwała „Les Forces" (Siły).

Marta Hanau podpisała układ ze swymi wierzycielami. Marta Hanau — podlegająca, jako „splajtowana" dozorowi policyjnemu otrzymała pożyczkę na puszczenie w ruch nowej maszyny.

Oto, co pisze popularne i u nas „Candide": Redaktor tego pisma, który znał Martę Hanau z czasów minionego splendoru, opowiada, iż zastaje ją teraz w *decorum* najzupełniej odmiennem — nawet nędznem. Z jednej strony sąsiadem jej jest fabrykant gorsetów, z drugiej — agent wynajmujący *„girlsy"* do teatrzyków. Typowy *entourage* Montmartre'u. Brak jeszcze hurtowego handlarza towaru dla Buenos Ayres.

Marta Hanau siedzi przy biurku — demonstruje otrzymywaną korespondencję od czytelników organu francuskiego „Les Forces".

„Podziwiam panią — pisze jeden z admiratorów. — Podziwiam pani siłę ducha, energję, która tłomaczy tytuł pisma — *les forces.* Podziwiam śmiałość wypowiadania walki całej finansjerze francuskiej i wobec tego pozwalam sobie załączyć do opłaty za prenumeratę pisma skromnych kilka groszy na fundusz dyspozycyjny".

I o to właśnie chodziło. Fundusz dyspozyzyjny kobiecie, która acz z kryminału poczęta— zdobywa się na walkę z finansjerą w imię sprawiedliwości. Setki miljonów franków straciło tysiące naiwnych — tysiące nowych staje w szranki.

Najnowsze wynalazki



We Włoszech zainstalowano na dworcach ruchome centrale telefoniczne.



W Ameryce zastosowano przyrząd elektryczny do dojenia krów.

Alimenty



John Gilbert płaci Leatrice Joy 156.000 dol. alimentów, pozatem daje jej rocznie 2.000 dol. na utrzymanie dzieci. Adolphe Menjou zapłacił już swej żonie, Katarzynie 67.500 dol. oraz odstąpił swój dom wartości 75.000 dol. (Fot. Metro).

Dwudziestu dziewięciu mężczyzn odsiaduje w chwili obecnej karę w specjalnem więzieniu, przy 37-ej ulicy, w New Yorku. Dwudziestu z nich skazano za odmowę płacenia alimentów swym rozwiedzionym lub separowanym żonom.

Ameryka bowiem do dzisiaj posiada więzienie przeznaczone dla osób, które odmawiają zapłaty długów, obowiązek zaś ponoszenia kosztów alimentów jest uważany za dług.

W olbrzymiej większości wypadków, skoro żona skarży męża o alimenty, mąż zostaje skazany na zapłacenie wszystkich kosztów sądowych, kosztów za prowadzenie sprawy obu stron, oraz pewnej sumy tymczasowych alimentów, do czasu ostatecznego wyroku.

Nawet gdy mąż sprawę wygrywa, co oczywiście zdarza się dosyć rzadko, koszty sądowe obciążają go całkowicie. Chodzi tu o niemałe kwoty, dochodzące nawet do 30.000. Czyż nie za dużo za satysfakcję wygranej?

Mąż, zresztą, alimenty płaci zarówno w razie rozwodu jak i separacji. Separacja jest dla kobiety wygodniejszą, gdyż daje ona jej całkowite zabezpieczenie materjalne, jednocześnie zaś współmałżonek jej nie staje się wolnym i po raz drugi ożenić się nie może. Więcej, gdyż mimo nawet powtórnego małżeństwa żony, mąż nie staje się wolnym od płacenia i musi zwrócić się do Sądu o zwolnienie go od płacenia alimentów.

Największe sumy płacą mężowie rozwiedzionym żonom w Hollywood.

Carey A. Wilson naprzykład, piszący scenarjusze filmowe, wypłacił swej byłej żonie przeszło 100.000, a ponadto 500 miesięcznie i 18.000 dol. na utrzymanie samochodu.

Ronald Colman, jest również jednym z tych, którzy nie przestają płacić. Oto w roku 1925 żona jego, po powrocie z Włoch wytoczyła mu sprawę o alimenty, żądając 1000 miesięcznie. Sprawę powierzono adwokatom stron, a tymczasem pani Colman wyjechała do Anglji, otrzymawszy od męża zadatek.

John Gilbert płaci Leatrice Joy $ 156.000 alimentów, pozatem daje jej $ 2600 rocznie na utrzymanie dzieci.

Adolphe Menjou zapłacił już swej żonie Katarzynie $ 67.500, płacąc po $ 650 tygodniowo, podczas rozprawy rozwodowej dał żonie $ 25.000 gotówką, odstąpił jej swój dom wartości $ 75.000. Twierdzą obecnie, że piękny Adolf pozostał bez grosza.

Żona Cliff Edwards'a wniosła do sądu sprawę przeciw swemu mężowi o $ 104.000 odszkodowania i alimentów. Na rozprawie oświadczył swej żonie, iż jeśli uważa, że śpiew jego (występuje w radjo) ma taką wartość, to zaśpiewa jej kilka razy, zamiast płacić alimenty.

Lloyd Hamilton nie wypłacił jeszcze całkowicie zaległych alimentów swej drugiej żonie, gdy trzecia z kolei wniosła sprawę rozwodową i żądanie zapłacenia

Sądy bynajmniej nie kierują się zamożnością męża, ale najczęściej potrzebami żony, które ocenia się według jej sprawozdań.

Pani Christine Aaronson wytoczyła sprawę rozwodową swemu mężowi, załączając przytem spis swoich miesięcznych wydatków, które wynoszą w sumie $ 2050 dolarów. Pani Aaronson w swej skardze sądowej pisze, że wydaje ona miesięcznie: na komorne $ 200, na służbę $ 100, na czyszczenie ubrań $ 50, na żywność $ 300, na suknie $ 750, na zabawy i klub $ 150, szofer i samochód kosztują ją $ 200, kuracja i doktorzy — $ 150, masaże — $ 50, fryzjer, manicure — $ 25, co razem czyni 2050 dolarów — w tej przeto wysokości żąda ona alimentów od swego męża.

Al. St. Jon, został osadzony w więzieniu w roku zeszłym za zaleganie z wypłatą alimentów. Sędzia oświadczył na rozprawie, że zasiądzie w więzieniu na tak długo, aż nie zapłaci swej żonie alimentów ,chociażby miał siedzieć... do końca swego życia. I to wszystko mimo, że wypłacił on swej żonie już 3000, a zalegał zapłatą tylko 1000 dolarów.

Męża odmawiającego zapłaty alimentów wsadza się do więzienia na wniosek poszkodowanej żony, wystarczy wypełnić i podpisać formularz sądowy. Niektóre żony, aż siedem razy pozbawiały wolności swoich mężów.

Prawo amerykańskie zezwala na wytoczenie odszkodowania za przyrzeczenie małżeństwa, nawet wówczas, gdy przyrzeczenie ograniczyło się tylko do wypowiedzenia kilku czułych słów przy stole restauracyjnym wobec świadków. Nieopatrzne napisanie czułego listu jest już dowodem istnienia tak zw. „Legal contract", po którym powinno nastąpić małżeństwo, w przeciwnym razie daje to podstawę do wytoczenia powództwa o odszkodowanie. Zdarzały się wypadki jak skazanie osiemdziesięcioletniego starca na olbrzymią karę pieniężną na korzyść młodej osoby, za złamanie przyrzeczenia zawarcia małżeństwa.

Wytaczanie powództwa z tytułu złamania przyrzeczenia małżeństwa w tej formie, w jakiej istnieje w Amervce jest w Europie nieznane.

Zgodnie z obowiązującym u nas kodeksem, na zasadzie art. 241 prawa o małżeństwie, osoba bez powodów słusznych nie-



Smutny klown ekranu Charlie Chaplin duma nad niewiernością swej małżonki, bawiącej się za jego pieniądze w Paryżu.

dotrzymująca uczynionego przyrzeczenia zawarcia małżeństwa — na piśmie lub w przytomności świadków — obowiązana jest przeciwnej stronie wynagrodzić poniesione koszty i straty. Zdarza się więc i w Polsce, że obietnica zawarcia małżeństwa daje podstawę do zwrotu „kosztów". Sądy nasze niejednokrotnie skazywały kapryśne narzeczone na zwrot wydatków na kwiaty, prezenty, a nawet garnitury, jakie sobie narzeczony sprawiał w nadziei zawarcia ślubu, ale wypadki skazywania narzeczonego były bardzo rzadkie...

W Ameryce mężczyzna broni się zwykle tym argumentem, że powódka nigdy go nie kochała, że jedynie chciała wyjść za niego za mąż dlatego, że jest bogatym, ale sąd wychodzi z założenia, że powódka poniosła straty, gdyż jej „finansowe przewidywania" zostały zawiedzione. Nawet i w tym wypadku, gdy pozwany bronić się będzie tym argumentem, że powódka już wyszła za mąż za kogo innego — taki argument jest nieskuteczny, gdyż adwokaci pozwanej będą wykazywać, że mąż obecny jest biedniejszy niż jej poprzedni narzeczony, który powinien wyrównać jej straty.

50.000 kobiet w Ameryce otrzymuje obecnie alimenty od mężów.

Jakież więc słuszne jest przysłowie amerykańskie *„Do right and fear no man — don't write and fear no woman"* (Czyń dobrze, a nie będziesz się bał mężczyzn, nie pisz a nie będziesz się bał kobiety).

Dr. Rom.

DR. MED. JERZY SZPAKOWSKI.

Pamięć

Podczas całego życia bez przerwy napływają do nas ze wszystkich stron wrażenia, zewnętrzne i wewnętrzne. Tłoczą się one gromadnie przy progu świadomości, lecz zaledwie bardzo nieliczne z nich przekraczają ów próg. Tylko te wrażenia, na które skierowano uwagę, dochodzą do naszej świadomości i to z tem większą siłą i jaskrawością, im większa była uwaga, lub połączone z nią zainteresowanie, względnie inne przeżycie przyjemne czy też przykre.

Nie możemy jednak zbyt długo zatrzymywać się na jednym przedmiocie. Wciąż napływają coraz to nowe wrażenia. Czasem płyną spokojnym, cichym strumieniem, czasem zaś przeistaczają się w burzliwy, szumiący potok górski. Uwaga przeskakuje z przedmiotu na przedmiot. Wrażenie doznane przed chwilą zostają wyparte z pola świadomości przez świeżo napływające, usuwają się na bok, coraz bardziej ukrywają się w cieniu, wreszcie zostają zepchnięte gdzieś w głąb. Zapadają się w jakieś inne, mało zbadane zakątki naszej psychiki, które znajdują się już poza obrębem świadomego „ja", a które nazywamy „podświadomością". Tutaj zostają zmagazynowane, tutaj układają się jakby warstwami, w miarę tego jak uwaga skierowuje do świadomości coraz to nowe i nowe wrażenia. I stąd zapomocą pewnych skojarzeń mogą być wydobyte z powrotem — do świadomości. W ten sposób powstaje najbogatsze chyba archiwum — archiwum myśli człowieka.

Pamiętamy bardzo dużo. Czyż moglibyśmy obliczyć ilość chociażby wszystkich słów, terminów, liczb, dat, nazwisk, adresów, telefonów i t. d., któremi jest naszpikowany mózg współczesnego człowieka? Zostawmy w tej chwili wiele rzeczy innych, bardziej skomplikowanych. A cóż dopiero mówić o wiadomościach, jakie są wymagane przez różne specjalności, szczególnie przez niektóre. Jednocześnie bardzo często nie pamiętamy o wielu rzeczach, z któremi się stykamy nieomal na każdym kroku. Dla przykładu niech każdy spróbuje dokładnie odtworzyć w pamięci lub najlepiej na papierze napis, znajdujący się na pudełku zapałek. Przekonany jestem, że ogromna większość zrobi to niedokładnie lub wręcz fałszywie.

Najlepiej pamiętamy wrażenia wzrokowe i słuchowe. Ciekawe przykłady dają nam życiorysy niektórych malarzy i muzyków. Znany malarz francuski Gustaw Dorè dostał kiedyś zamówienie na zrobienie rysunku z fotografji — widoku Alp. Jednakże Dorè zapomniał gdzieś fotografję, zamówienie zaś miało być wykonane w ciągu jednego dnia. Zrobił więc rysunek z pamięci. Była to dokładna kopja fotografji. Wielki Mozart mógł, po jednorazowem przesłuchaniu każdego nowego utworu muzycznego, odtworzyć go z całą dokładnością. Księgi Wedy, których objętość równa się conajmniej Biblji, przez osiem stuleci były przechowywane w pamięci, ponieważ hinduskie piśmiennictwo jeszcze wówczas nie istniało. Napoleon posiadał wprost zdumiewającą pamięć nazwisk i twarzy ludzkich, co niewątpliwie przyczyniło się do zyskania przez niego jeszcze większej miłości wśród żołnierzy. Podobną zdolność miał posiadać również Cezar.

Słynni szachiści potrafią grać jednocześnie kilkanaście lub nawet więcej partyj i to z pamięci — „na ślepo". Znani rachmistrze wprawiają nas w zdumienie swemi zdolnościami matematycznemi. Większość mężczyzn z podziwem przysłuchuje się rozmowom kobiet, opisujących z nadzwyczajną dokładnością toalety, nietylko wszystkich znajomych, lecz i nieznajomych, a nawet widzianych zupełnie przelotnie.

Pamięć wrażeń innych zmysłów jest rozwinięta u nas naogół słabo. Nie możemy nieraz zrozumieć tych ludzi, którzy występują jako urzędowi rzeczoznawcy herbaty, win, tytoniu, wełny. A przecież polega to tylko na wyjątkowym rozwoju pamięci smakowej, węchowej czy też dotykowej.

Istnieją jednak wypadki wprost niezwykłe. Ribot opisuje pewnego niedorozwiniętego umysłowo mężczyznę, który pamiętał szczegółowo wszystkie pogrzeby, jakie się odbyły w jego parafji w ciągu 35 lat. Mógł wymienić nietylko dokładną datę i dzień tygodnia każdego pogrzebu, nazwisko, imię i wiek nieboszczyka, ale i wiek, imiona i nazwiska wszystkich uczestników ceremonji. Pozatem nie wiedział nic, każda myśl była obcą dla niego, na żadne inne pytania nie mógł dać odpowiedzi, a nawet nie był w stanie samodzielnie jeść. W naszej literaturze naukowej posiadamy przypadek, podany przez Wizla. Pewna umysłowo upośledzona dziewczynka, nie posiadająca odpowiedniego wykształcenia, miała nadzwyczajne zdolności rachunkowe, przyczem posługiwała się podwójnym systemem — dziesiętnym i „szesnastkowym". Na pytanie, ile wyniesie powiedzmy 36 pomnożone przez 36, odpowiadała natychmiast — 1296 i jednocześnie dodawała, że to jest to samo, co 81 razy 16. Jeżeli pytano ile będzie 27 pomnożone przez 23, dawała odpowiedź: 621, czyli 38 razy 16 plus 13.



W „Scala" berlińskiem produkuje się obecnie kobieta-fenomen, pisząca na tablicy jednocześnie sześć różnych cyfr.

W niektórych stanach nienormalnych, jak np. duże niebezpieczeństwo, hypnoza, gorączka, narkoza, wreszcie pewne choroby umysłowe, zdarzają się czasem jakieś dziwne przebłyski pamięci rzeczy zupełnie i dawno zapomnianych, lub nawet takich, które nigdy nie trafiły do świadomości. Niewątpliwie najciekawszy przykład tego rodzaju podaje Carpenter. Młoda kobieta, zupełnie niepiśmienna, zapada na ciężką chorobę. Podczas silnej gorączki wykrzykuje różne zdania w językach łacińskim, greckim i hebrajskim. Po zapisaniu i sprawdzeniu okazało się, że były to zdania zupełnie prawidłowe, lecz niepowiązane ze sobą. Dopiero po długich i mozolnych poszukiwaniach ustalono, iż owa kobieta, mając lat 9, mieszkała w domu pewnego pastora, który miał zwyczaj czytania na głos starożytnych autorów, chodząc po korytarzu, sąsiadującym z kuchnią. Nawet książki pastora zostały odnalezione i stwierdzono, że wszystkie zdania pochodziły z nich.

Często są również osłabienia lub zboczenia pamięci. Rozwijają się one na tle różnych chorób, a przedewszystkiem — starości. Przykro nam patrzeć na starca, który czytając utkwi na jednym wierszu i nie może posunąć się dalej, lub powtarza co parę minut jedno i to samo pytanie. Przykry musiał być widok Linneusza, znakomitego przyrodnika szwedzkiego XVIII stulecia, który u schyłku życia nie poznawał już swych własnych dzieł. Mówił tylko, że podobają mu się!

Pod wpływem silnych wzruszeń możemy podlegać chwilowym zaburzeniom pamięci. Powstają wtedy nieliczne w naszem życiu „chwile zapomnienia". Do tejże kategorji należą nagłe zahamowania psychiczne, zdarzające się niekiedy podczas egzaminów.

Miewamy czasem mimowolne spaczenia pamięci. Zupełnie bezwiednie staramy się wyrzucić ze swoich wspomnień fakty przykre lub złe. Pozostają wspomnienia miłe, przyjemne. Stąd tak rozpowszechnione zdanie o *„starych, dobrych czasach"*.

Rzadko dowierzamy całkowicie swej pamięci. Posiadamy różnego rodzaju księgi podręczne, skorowidze, kartoteki. Wychodząc kupić sobie powiedzmy nici pewnego odcienia, bierzemy ze sobą próbkę. Chcąc pamiętać o czemś, uciekamy się często do środka naiwnego może, ale często pożytecznego: zawiązujemy supełek. W ten sposób kojarzymy jakąś ważną myśl z tym beztreściwym supełkiem. Lecz gdy zobaczymy go później — przypominamy sobie. Najczęściej zaś notujemy wszystko. Chyba notes posiada prawie każdy z nas.

Powstało dużo systemów tak zwanych mnemonicznych, czy też mnemotechnicznych. Prócz kilku słusznych uwag, oraz szeregu udanych i dobrych przykładów, cechuje te systemy jedna rzecz: blaga. Pamięć należy pielęgnować i ćwiczyć, ale umiejętnie.

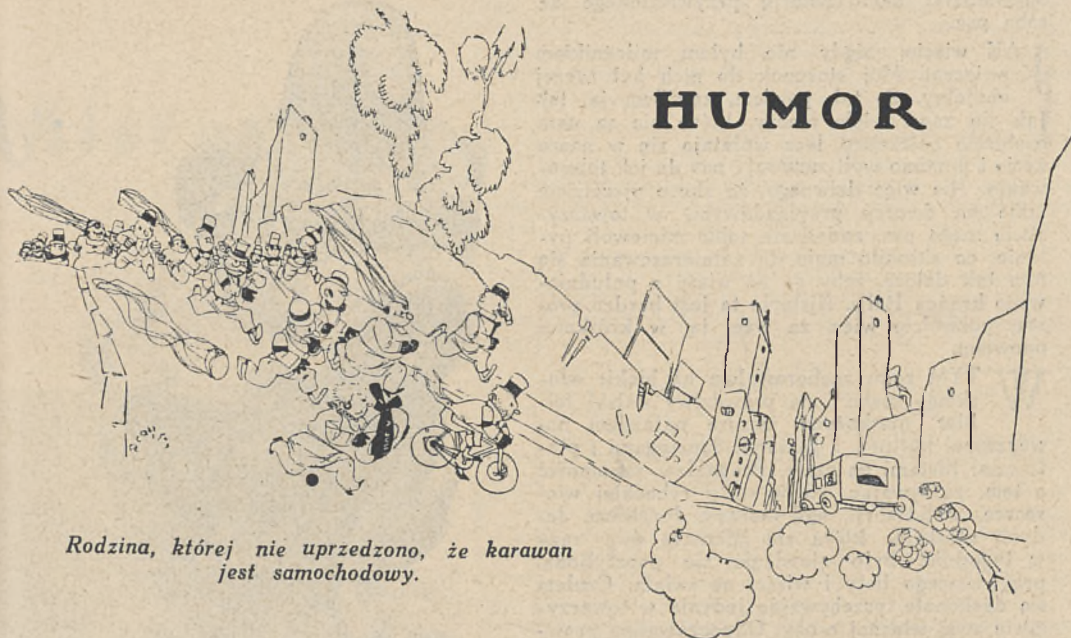
Pierwszym warunkiem są przepisy hygjeny zarówno ogólnej, jak i psychicznej, szczególniej zaś zachowanie kolejności pomiędzy pracą i odpoczynkiem, a zwłaszcza snem. Krótkotrwały odpoczynek, przy małem nawet zmęczeniu jest bardzo ważny. Ogromną rolę odgrywa odpowiednie wychowanie i wogóle „uczenie się" wszelkiego rodzaju, przyczem zrozumienie każdej rzeczy i unikanie „kucia" stanowi moment najgłówniejszy. Co się tyczy specjalnych ćwiczeń, to uczenie się na pamięć, oczywiście nie „kucie", czegoś najbardziej nawet bezsensownego, nudnego i niezrozumiałego przynosi już dużą korzyść. A cóż dopiero mówić o rzeczach, które wywołują zainteresowania w nas, lub dążą do jakiegoś celu wyższego? Po względnie krótkim czasie będziemy mogli dojść niekiedy do świetnych rezultatów.



HIGJENA SKÓRY GŁOWY

Ze wszystkich części ciała ludzkiego wydziela naobficiej skóra głowy oleisty tłuszcz. W rzadkich tylko wypadkach napotyka się suchą skórę głowy. Oleisty tłuszcz jełczeje łatwo w temperaturze ciała, a do szybkiego jełczenia przyczyniają się włosy i nakrycie głowy. Proces jełczenia polega na tworzeniu się kwasów tłuszczowych, które warunkują stan zapalny skóry w postaci łupieżu, wyprysków, swędzenia i przenikliwej woni, którą wyczuwa się nawet z odległości. Łatwo zrozumieć, jak szkodliwie stan taki działa na korzonki włosów, jak niszcząco wpływać musi namaszczanie włosów tłuszczami. Zapobiec można wzmiankowanym przypadłościom, a zarazem zupełnie o d w o n i ć skórę i włosy — z o b o j ę t n i e n i e m kwasów tłuszczowych. Ani mydłem, ani żółtkiem nie osiągnie się celu, jedynie tylko częstem myciem Shampoonem Dra Lustra, który dostosowany jest ściśle do wydzielniczych funkcyj skóry głowy oraz do k o l o r u w ł o s ó w. Uwagi powyższe powinni przyswoić sobie też — mężczyźni, zwłaszcza podczas sportów.

HUMOR



Rodzina, której nie uprzedzono, że karawan jest samochodowy.



— Jedź pan na całego, ja nic nie czuję.
— Nie mogę tego samego powiedzieć o sobie, póki pani ma usta otwarte.



— Żebyś miał pęknąć ze złości, idjoto, kretynie, obmierzły fetusie — muszę grać w filmie...
— Abyś tylko nie występowała w dźwiękowcu, dziecino...

Psia historja



„Kitty von Burkhausen" służy przed operatorem.

ROSKOSZNA ociężałość po smacznie spożytej kolacji opanowała wszystkich. Wonny dym cygar, aromat doskonałej kawy oraz dyskretnie przyćmione światła w saloniku usposabiały do pogawędki. Przyjaciel mój malarz, który powrócił niedawno z artystycznej wycieczki z zagranicy, opowiedział nam historję przywiezionego ze sobą psa.

JAK wiecie, nigdy nie byłem miłośnikiem zwierząt. Mój stosunek do nich był raczej obojętny. Że tak powiem, znosiłem je, tak jak się znosi wiele rzeczy, które nie są nam osobiście potrzebne, lecz wplatają się w nasze życie i pomimo woli zmuszają nas do ich tolerowania. Nic więc dziwnego, że skoro ujrzeliście mnie na dworcu przyjazdowym, w towarzystwie mego psa, zadaliście sobie mimowoli pytanie, co skłoniło mnie do zainteresowania się nim tak dalece, żeby go aż wieść z południowego krańca Italji. Historja ta jest bardzo prosta, pozwólcie więc, że wam ją w krótkości opowiem.



[illegible] w roli „John Bulla".

W TYM roku zachorowałem na błękit włoskiego nieba i na prawdziwy italski folklor, nieskażony jeszcze najazdem nowoczesnej kultury, z jazzami, dancingami i plażowemi flirtami na czele. Pragnąłem zapomnieć o tem, zaszywając się w małej rybackiej wioseczce, w Kalabrji, nad morzem Jońskiem. Jedyną atrakcją, która się zdarzała dwa razy w tygodniu, było zjawienie się pocztyljona, przywożącego listy i wieści ze świata. Czułem się doskonale, przebywając jedynie w towarzystwie swej własnej osoby. Odpoczywałem prawdziwie. Gdy nagle cichy nurt mojego życia został zmęczony. Oto przechadzając się pewnego razu nad morzem, ujrzałem niewielkiego psa, o szerści czerwonawej, gdzieniegdzie wpadającej w żółty odcień, nastroszonej niczem kolce jeżozwierza. Pies biegał pomiędzy krzakami, węszył na wszystkie strony jakby szukał jedzenia. Muszę wam przytem dodać, że na południu ludzie naogół psów nie lubią, puszczając je samopas i nie troszcząc się dla nich o pożywienie. Ponieważ zabierałem sobie zawsze drugie śniadanie, wyjąłem machinalnie z torby kawałek chleba i rzuciłem psu. Pies z początku umknął, sądząc, że cisnąłem weń kamieniem. Potem jednak zaczął chodzić ostrożnie wokoło tego miejsca, wreszcie zobaczywszy chleb, porwał go i pożarł na miejscu.

SKORO na drugi dzień rano wyszedłem na próg swego domku, który odnajmowałem od miejscowego rybaka, ujrzałem tego samego psa, siedzącego w odległości jakichś 50 metrów, z mordą zwróconą w moją stronę. Zdziwiło mnie to trochę, ale sądząc, że jest znów głodny, wyrzuciłem kawałek kości, która została po wczorajszej kolacji. Pies powstał i nieufnie patrząc się na mnie powoli zaczął się zbliżać. Nie chcąc go płoszyć nie ruszałem się z miejsca. Teraz dopiero mogłem mu się dokładnie przyjrzeć. Lewe jego oko pokryte bliznami było martwe. Patrzał tylko prawem okiem. Jednakże siła wzroku tej jednej źrenicy była tak wielka, że się zdawało, iż cała dusza się w niejześrodkowała. Ogarnęło mnie uczucie, jakiego nigdy nie odczuwałem, uczucie miłości do zwierzęcia. Pies, podszedł bl[illegible]sko, zatrzymał się i miast porwać ko[illegible] i uciec patrzał się na mnie. W spojrz[illegible] jego widać było sprzeczne uczucia: ufno[illegible] obawy, miłości, przywiązania i wierności. Mi[illegible]mowoli zeszedłem z ganku i zbliżywszy [illegible] pogłaskałem go. Od tej chwili zawarliśmy przyjaźń. Pies nieodstępował mnie ani na chwilę. Leżał u moich stóp, lub wlókł się wszędzie za mną. Nigdy nie okazywał swych wewnętrznych nastrojów w sposób wybuchowy. Cechowała go w postępowaniu powaga i melancholja, która widocznie była konsekwencją jego dotychczasowej doli. Gdybym chciał to scharakteryzować kategorjami ludzkiemi musiałbym powiedzieć, że pies nie umiał się śmiać. Nie wiedział, co to radość i wesele. Nauczył się tylko jednego uczucia — miłości do mnie. Ja mu odpłacałem tem samem.



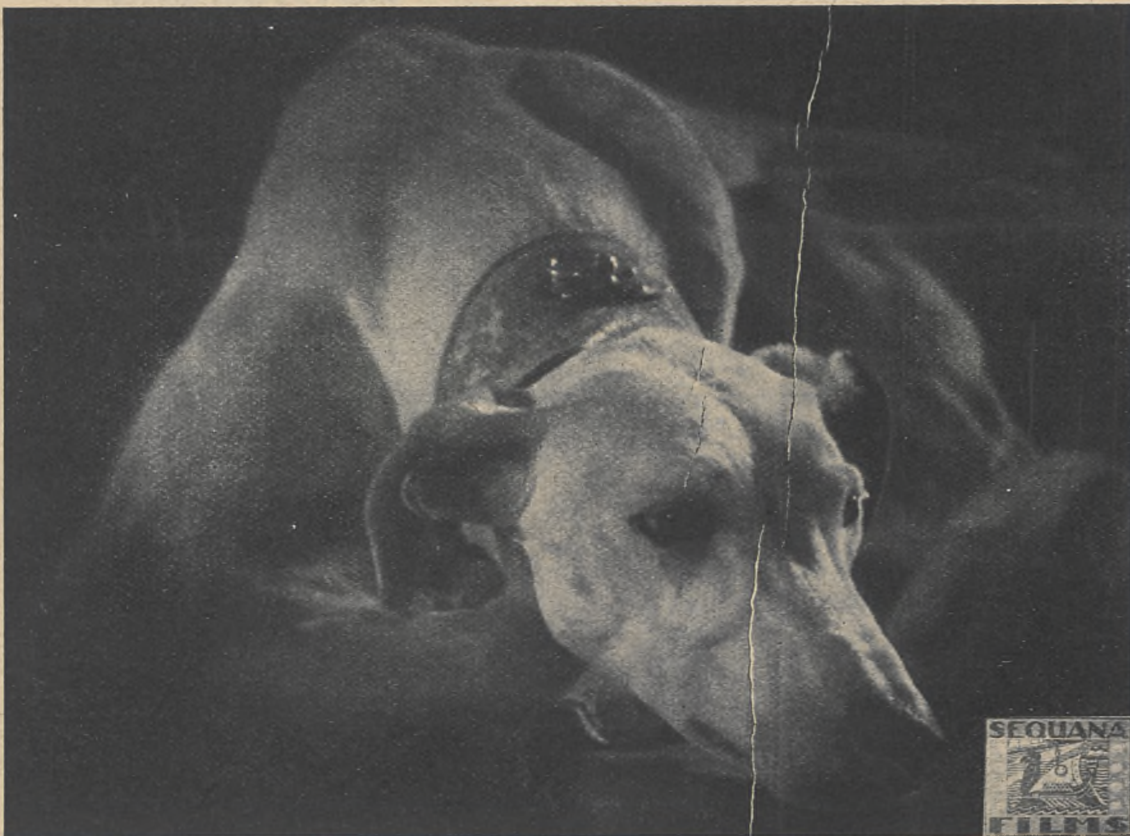
Chart rosyjski — „Cal[illegible] ulubieniec miss Reny Pugh.

ŻYLIŚMY w ten milczący sposób obok siebie przez trzy miesiące. Jeden nigdy się na drugim nie zawiódł. Wreszcie zaczął się zbliżać termin mego wyjazdu. Pies to wyczuł, gdy pewnego dnia wyszedłem nad morze w innem obuwiu. Były to buty miejskie, które przez cały ten czas leżały zapakowane w kufrze. Pies obwąchał je uważnie ze wszystkich stron, zadarł swój pysk do góry, popatrzał długo na mnie swem jedynem okiem, poczem podwinąwszy ogon pod siebie pomknął między nadbrzeżne skały. Przysiągłbym, że widziałem łzy w jego oku. Zrobiło mi się przykro. Zacząłem się zastanawiać co mam począć z mym milczącym przyjacielem. Zabrać go ze sobą było nie sposób. Zostawić tak, skazać na nową włóczęgę o głodzie i bez żadnej nadziei na polepszenie losu byłoby dla mnie zbyt ciężko.

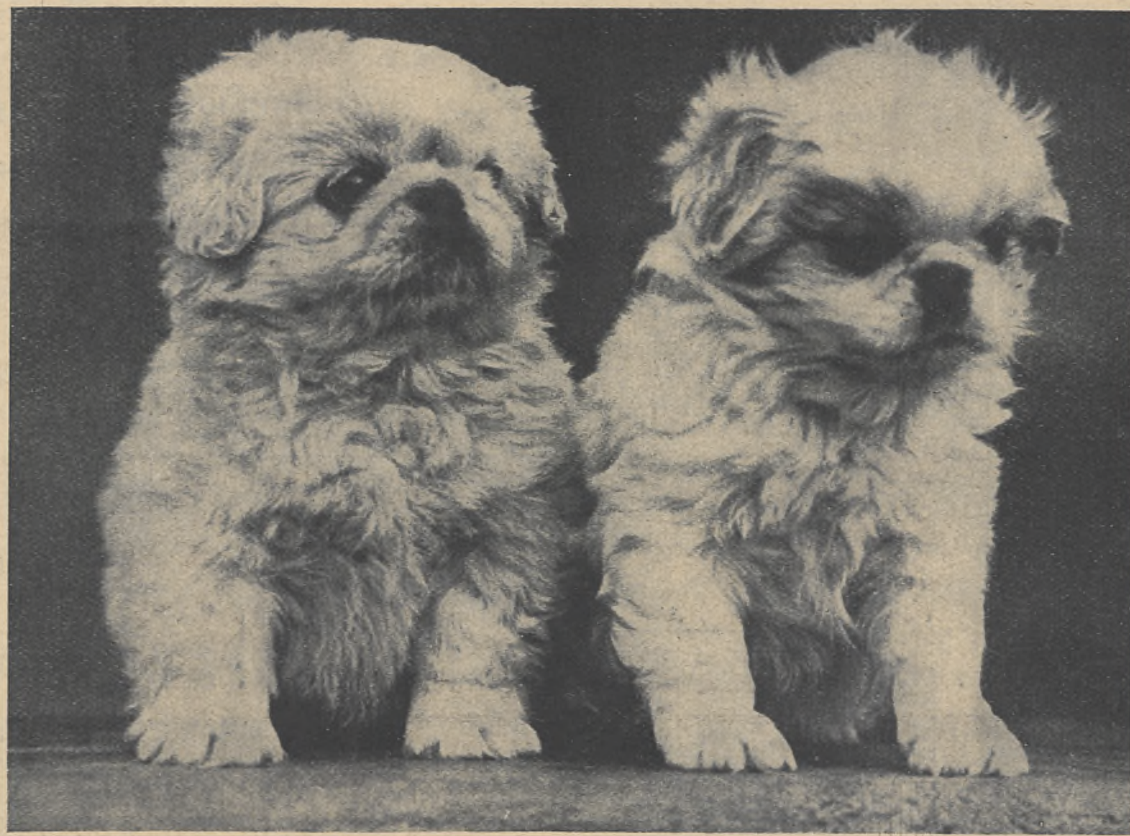
PIES wrócił dopiero wieczorem. Wszedł do mego pokoju, stanął w progu, popatrzał się, poczem przypełzł do nóg i oparł swój pysk o moje buty. Tak minęło trzy dni. W przeddzień odjazdu siedziałem przed domem, roskoszując się doskonałem kalabryjskiem winem. Pies siedział obok, z zadartą mordą, wpatrując się we mnie jak w obraz. Nagle przyszła mi do głowy myśl, która jakkolwiek w swem rozwiązaniu tragiczna, jednakże rozwiązywałaby trudną do rozwikłania sytuację. Wstałem natychmiast, zabrałem z pokoju młotek, kawał sznura i udałem się w stronę morza. Po drodze podniosłem duży kamień. Pies jak zwykle wlókł się za mną. Zepchnąwszy na wodę łódkę, którą zawsze miałem do dyspozycji, kazałem psu do niej wskoczyć, poczem sam wsiadłem i zacząłem wiosłować na pełne morze. Byłem zdecydowany wykonać swój zamiar. Był to bolesny zabieg, ale w tym wypadku jedyny. Płynąc tak coraz dalej od brzegu poczułem się nieswojo. Czułem, że pies wie poco go zabrałem na morze. Wie, że mam go zamiar zabić i utopić. Swym psim instynktem wyczuwał zbliżający się koniec. Jednakże nie drgnął nawet. Leżał przytulony do mych nóg. Jego prawe oko spoglądało na mnie z niewypowiedzianym smutkiem, rozpaczą zbliżającej się na wieki rozłąki i pożegnaniem. Czasami tylko lekki dreszcz wstrząsał jego ciałem. Mimowoli odwracałem wzrok od psa, starając się o nim nie myśleć. Wmawiałem w siebie, że jadę wykonać pewien obowiązek, który, jakkolwiek przykry, jednak jest konieczny. Wreszcie wciągnąłem wiosła do łodzi. Nie patrząc się na psa, wyciągnąłem prawą rękę powoli, jak złodziej, macając miejsce, gdzie złożyłem młotek. Wreszcie dotknąłem go dłonią, objąłem palcami i zacząłem przyciągać ku sobie. Nagle skamieniałem. Uczułem miękkie, delikatne dotknięcie językiem. Potem cichy skowyt i znowuż wilgotne ciepło. To pies się ze mną żegnał. Wybaczcie mi drodzy przyjaciele, może się będziecie śmiać z tego, co wam teraz powiem. Oto zacząłem płakać. Zpoczątku cicho, wreszcie łkanie moje stało się coraz głośniejsze. Ukryłem twarz w dłoniach, wstydząc się przed sobą samym i przed psem, swego okrutnego zamiaru, zamordowania przyjaciela. A pies? Zaczął lizać mnie po tych rękach, które przed chwilą chciały go pozbawić życia. Przebaczył mi. O, bo pies jest szlachetniejszy od człowieka.



Bobby w roli Harolda Lloyda.



Wyżeł niemiecki, aktorem w filmie Pudowkina. (fot. Heros).



Bliźniaki „pekinois" nagrodzone złotym medalem na wystawie w Londynie.

JAN PIOTROWSKI.

Było to przed ćwierćwieczem

— Anert, Andrzejewskij... Pietrowskij, Petrażyckij, Przedborskij...

...Nauczyciel odczytuje listę obecnych uczniów klasy czwartej...

...Mam lat piętnaście. Noszę czarną obcisłą bluzę z sztywnym kołnierzem sukiennym, z pod którego wysuwa się wąziutki skrawek przepisowej szmatki jedwabnej, tak zwanego „gałstuka". Bluzkę obciska pas skórzany, zapinany na prostokątną klamrę miedzianą. W krótko ostrzyżonych włosach wyżłobiła koliste odciski przyciasna ciemnogranatowa czapka z daszkiem i białemi wypustkami, ozdobiona posrebrzaną blaszką, wyobrażającą dwa skrzyżowane liście palmowe ze znienawidzonemi literami:

„Ł. G." — *Łodzinskaja Gimnazja*"...

Lecz zanim wkroczymy do tego posępnego gmachu, pozwólcie, mili Czytelnicy, że odmłodzę się jeszcze więcej...

Oto mam lat sześć czy siedem i uczęszczam do szkoły przygotowawczej. Kulę się w mojej ławce, chciałbym zapaść się pod ziemię — bo właśnie zwinny i gibki, o ruchliwych muskułach, rysujących się pod wąskiemi rękawami marynarki, wskoczył na katedrę nauczyciel arytmetyki, p. Dyk. Pod czarną, karakułową czupryną i niskiem czołem widmowo bieleje jego zorana śladami ospy maska złego bóstwa leśnego. Odęte, murzyńskiego typu wargi wykrzywia złośliwy uśmieszek. Małe, okrągłe, świdrujące ślepki ślizgają się po zdrętwiałej w trwożnym bezruchu gromadce malców...

I nagle — jak potworny pyton — wpada między ławki. Uderza wzrokiem jednego z uczniów i miażdży go szybkiem pytaniem:

— Siedem razy sześć?!

Chłopczyna zrywa się, lecz głosu z zaciśniętej krtani wydobyć nie może.

A teraz — podłoga zakołysała się pod memi stopami. Przed oczami zalatały jakieś dziwne, czarne płatki o tęczowych obwódkach. Szum w uszach, których bębenki rozdarł dźwięk mego własnego nazwiska:

— Piotrowski! Ty powiedz!

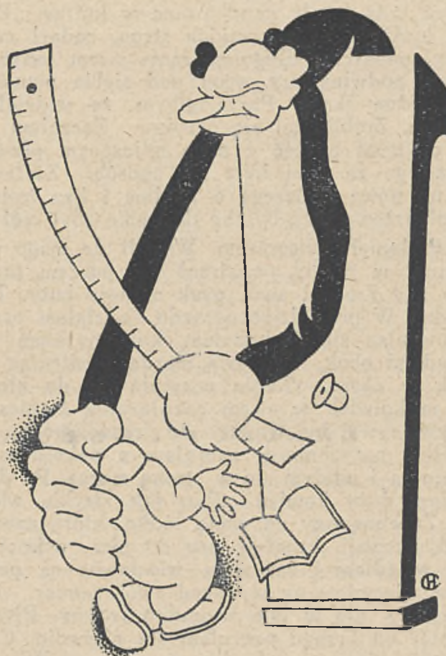
Zahypnotyzowany wzrokiem mego prześladowcy, stoję przed nim w milczeniu.

— Do kąta!

Stojąc pod ścianą widzę, jak nauczyciel olbrzymiemi susami szaleje po klasie. I za każdym razem gdy otrzyma mylną odpowiedź, rzuca we mnie nowem, nagłem pytaniem. Przerażony, nie mogąc zebrać myśli, znów odpowiadam milczeniem...

— Na kolana!

Klękam, aby za chwilę, po nowem pytaniu bez odpowiedzi, podnieść na rozkaz prawą rękę do góry. Potem lewą. Opuszczam ją, w nagrodę za trafną odpowiedź. Lecz niebawem ostry rozkaz p. Dyka znów wypręża ją nad mą głową.



Igra ze mną, jak kot z myszą. Opuszczam jedną dłoń, potem znów ją podnoszę, wstaję, aby za chwilę znów klęczeć na twardej i brudnej podłodze. Wybucham łkaniem, które dziki okrzyk: „*Nie rewiet'!*" wtłacza mi z powrotem do gardła.

Łzy przesłaniają mi postać mego oprawcy. Oto znów rzucił mi jakieś pytanie, którego nawet nie usłyszałem dokładnie. W odpowiedzi zakołysały się tylko dziecięce rączki, wzniesione nad pochyloną główiną... Więc duży, atletycznie zbudowany p. Dyk chwyta trzcinę, którą stale podczas jego lekcji leży na katedrze, i bezlitosnym ciosem przetrąca mą prawą dłoń...

Oto, kochani Czytelnicy, jak dziecko polskie uczyło się jakieś trzydzieści trzy lata temu tabliczki mnożenia w szkole rosyjskiej...

Minęło lat kilka. Z trudem, nie bez protekcyj i łapówek, przyjęto mnie do klasy wstępnej łódzkiego gimnazjum, w którego korytarzach czerniały wielkie napisy: „*W stienach uczebnawo zawiedieńja wospreszczajetsia gawarit' po polski*" — „*w obrębie zakładu naukowego zabrania się mówić po polsku!*" Język ojczysty był tolerowany wyłącznie na lekcjach języka polskiego i podczas obowiązkowej modlitwy porannej, którą uczniowie wszystkich klas odmawiali wspólnie w wielkiej sali pierwszego piętra, tak zwanej „sali aktowej" (*aktowyj zał*"). W przedwiośnie rewolucji 1905 roku kilku z nas, śmielszej i gorętszej natury, opuszczało ustęp modlitwy, mówiący o „monarsze, nie chcąc modlić się za krwawego cara. Zdawało się nawet, że uczeń, który w postawie klęczącej odmawiał głośno tę modlitwę, zastępował słowo „monarsze" drogiem — lecz jakże wówczas niebezpiecznem! — słowem „Ojczyzna"

Dnia pewnego wybór ks. katechety padł na mnie. Rozejrzałem się po sali i, nie widząc mundurów profesorskich, ukląkłem, a doszedłszy do owego ustępu modlitwy, wymówiłem śmiało:

— ...Ojczyźnie, rodzicom, przełożonym...

— Monarsze! poprawił mnie inspektor Trubicyn, który swoim zwyczajem na palcach wkradł się w ostatniej chwili do sali, a teraz stał na swych śmiesznie maleńkich stópkach tuż za memi plecami.

— ...Rodzicom, przełożonym...

— Monarsze!!! — zagrzmiał znów nieubłagany rozkaz inspektora. Minęła długa chwila złowrogiej ciszy, podczas której słyszałem przyśpieszone bicie mego serca. I rumieniąc się ze wstydu i upokorzenia, drżącym zdławionym głosem wyszemrałem:

— Monarsze...

Oto, kochani Czytelnicy, jak dziecko polskie modliło się dwadzieścia pięć lat temu w szkole rosyjskiej...

Fala strajkowa zastała mnie w klasie czwartej. Trudno mi w tym krótkim artykule odmalować te wszystkie specyficzne warunki, w jakich, borykając się z obojętnością lub wręcz wrogością ogółu kolegów, wśród których element polski był w mniejszości — pozbawieni kontaktu ze stolicą i bez żadnej pomocy zzewnątrz, trzej młodzi chłopcy — dwaj z klasy IV i jeden z klasy V — zabrali się z zapałem do organizowania strajku w gimnazjum łódzkiem.

Zdyszani z pośpiechu, z gorączkowemi wypiekami na policzkach, obchodzili kolejno mieszkania kolegów wszystkich klas, kaptując ich dla sprawy. Organizowali tajne wiece — często z udziałem rodziców — w lokalu szkoły ś. p. Stanisława Thomasa, za którego trumną dwa lata temu szedł kilkutysięczny tłum wdzięcznych wychowanków. Dnia pewnego najspokojniej w świecie złożyli wizytę „samemu" oberpolicmajstrowi, prosząc go o pozwolenie na wielki wiec rodziców w sali teatru Sellina...

Wiec ten nie doszedł do skutku — natomiast wszyscy trzej chłopcy otrzymali tak zwane „wilcze bilety", opatrzone następującą — jakże zaszczytną! — notatką:

„Wydalony za samowolne nie uczęszczanie do gimnazjum i wysoce nieodpowiednie zachowanie się w stosunku do pomocników gospodarzy klasowych".

Oto, jak 25 lat temu trzej młodzi Polacy, którym śniła się w myśl słów ich własnej odezwy *„wolna szkoła polska w wolnem Państwie"*, rozpoczęli walkę o tę szkołę, która jest dzisiaj skarbem bezcennym setek i tysięcy młodzieńców, później niż oni urodzonych...



PRÓBA „KAPELUSZA".

Szlachetne gatunki przeróżnych materjałów, służących do wyrobu maszyn, przyrządów precyzyjnych i innych przedmiotów, zanim się je uszyje, poddaje się zazwyczaj próbom. Są to różne próby — na „szarpanie", na tarcie, na uderzenie, na gorąco, na zimno...

Pewien mój znajomy wymyślił jeszcze jeden rodzaj prób: „na kapelusz".

„Na kapelusz" nie próbuje się coprawda stali, lecz materjał.... na znajomych.

Przed kilku dniami idę z tym znajomym przez miasto. Po drodze spotkaliśmy pewnego jegomościa. Mój towarzysz i ów jegomość popatrzyli się na siebie i wyminęli nie wymieniając ukłonów, choć wiem, że się znają.

— Co się stało? Pogniewaliście się.

— Nie. Za mało go znam, bym się mógł z nim pogniewać. Przeprowadziłem go tylko przez próbę kapeluszową.

— Co takiego? Na czem to polega?

— Ja, widzisz, nie mam zwyczaju zważać na to, kto komu pierwszy się ukłoni. Ot, poprostu, widzę znajomą twarz: zdejmuję kapelusz. Robię to tak długo, póki się nie przekonam, że typ wyczekuje, bym mu się pierwszy ukłonił. Wtedy koniec. Z dumnymi wolę znajomości nie podtrzymywać.

Uwagi mego przyjaciela zaostrzyły moją uwagę. I ja spostrzegłem, że różni moi znajomkowie robią także miny, jakby wyczekiwali na ukłon.

Zrobiłem przegląd takich „typów". — Nie była to elita kulturalna: pan z fryzowaną czupryną, pan w monoklu, pan z czarnym wąsikiem i z namarszczonem czołem, pan z psem w płowe łaty...

Mój przyjaciel ma rację. — To galerja ludzi przypadkowo poznanych, z którymi z przykrością wymieniam ukłony.

— Zastosuj moją metodę — powiedział mi.— Weź ich na kapelusz.

Posłuchałem i z całą stanowczością zastosowałem system. — Wczoraj właśnie pozbyłem się w ten sposób ostatniego znajomka, który nie wytrzymał próby kapelusza.

Doznałem odrazu wrażenia, żem się znalazł na świecie w lepszem towarzystwie.

Bonzo.



Teatr Narodowy uczcił 25-lecie walk o szkołę polską wystawieniem popularnej i lubianej sztuki J. A. Hertza p. t. „Młody Las". Powyższa fotografja przedstawia „Sąd" rusyfikatorskiego nauczycielstwa nad młodym przywódcą polskiej „krucjaty dziecięcej". (fot. Malarski).

Impresje rewjowe

„Uśmiech Warszawy": „Zwarjowany bar". *Wesoły Wieczór:* rewja „Tańcowały dwa Michały"... *Rajski Ptak:* operetka murzyńska „Louisiana".

W „Uśmiechu Warszawy" — sensacja: nasz kolega redakcyjny znakomity dramaturg i feljetonista Zygmunt Kawecki oświadcza nagle ze sceny „Uśmiechu Warszawy": „Zmieniam fach" i występuje we własnym skeczu, jako tenor, obdarzony rzeczywiście przemiłym głosem. Winszujemy mu sukcesu z całego serca...

Jako autor nie jest, zresztą, osamotniony. Kierownik literacki tej sympatycznej scenki Jerzy Kossowski postarał się o choćby częściowe wyplenienie naleciałości „własticznych" i dał piękne scenki pióra Kornela Makuszyńskiego oraz Józefa Relidzyńskiego. Odnoszą w nich piękny sukces: prześliczna Brochwiczówna i inteligentna Petrykiewiczówna. Potężne wrażenie wywiera deklamacja Gruszeckiej. Oklaskiwano gorąco mulata Sama Salvano, który będzie godnem uzupełnieniem niedoścignionej pary akrobatów tanecznych: Prokopiakówna-Heinrich. Pozatem o humor dba skutecznie Gierasieński, o wdzięk niewieści — Żelska, o rozkosze wzrokowe — Koszutski - girls, a o słuchowe — jazz Sienkiewicza. „Więcej nam nie trzeba..."

Za główną tryumfatorkę nowej rewji „Wesołego wieczoru" należy uznać art. mal. Galewską, której piękne kostjumy nadają całej rewji blasku i barw. Na uznanie zasługuje również reżyserja (pp. Skonieczny i Horski), którym rewja bieżąca, jak i poprzednia zawdzięcza tempo-zaletę dla rewji niezmiernie cenną, bo przy urywanej obfitości programu, rewjowego, tempo bywa rzeczą nieuchwytnie decydującą. Wreszcie trzeba pochwalić słuszne dążenie dyrekcji do wciągnięcia sfer literackich w orbitę zainteresowań rewjowych. Dla początku podziwiamy bardzo kulturalne literacko teksty red. Jadwigi Migowej i red. Tadeusza Kończyca. Trzeba stanowczo kroczyć tą samą drogą i nadal, wzbudzając chęć do pracy dla rewji również wśród innych cennych piór literacko-dziennikarskich.

Wysoki poziom taneczny cechuje wszystkie popisy choreograficzne rewji „Wesołego Wieczoru". Parnell wymustrował swój zespół bardzo energicznie, osiągając już jak na nasze stosunki dużą sprawność zespołową. Sam też tańczy pięknie, a o Zizi Halamie niema co nawet pisać — każdy wie, jaka to znakomita tancerka. Dobrze spisuje się również Żelichowska, obficiej i celowiej tu spożytkowana, niż w „Morskiem Oku". Natomiast niewyzyskane są tym razem piękne talenty Gabrielli, Kraszewskiej, Rentgena, Nowickiej, Kamińskiego...

Muzealny półfinał jest imponujący. Już dawno nic podobnego w Warszawie nie widzieliśmy...

W „Rajskim Ptaku" szaleją „czarne kwiaty". Bardzo ciekawe widowisko. Prymityw murzyński w czystej postaci. Oszałamiające tańce, ogłuszające „jazzy", porywający posmak egzotyzmu... Bardzo, bardzo warto zobaczyć.

Henryk Liński.



Marja Modzelewska i Fryderyk Jarosy w bieżącej rewji „Qui pro quo". (fot. Brzozowski).

Współczesna bajka o Ali-Babie i 40.000 rozbójników

Pewien dziennikarz francuski, przedstawiciel paryskiego „Journal'u", odbył ostatnio podróż do Chicago, aby na miejscu zapoznać się z tem „miastem zbrodni". Relacje jego oraz liczne wiadomości, czerpane z prasy amerykańskiej, przypominają jakieś legendy o Ali-Babie i 40 rozbójnikach. Mimo niewątpliwej „prawdziwej prawdy", zawartej w tych opisach wprost wierzyć się nie chce, iż podobne rzeczy dzieją się w XX wieku, w wielkiem mieście potężnego państwa.

Gdyby jakiś człowiek przeleżał, przypuśćmy, 15 lat w letargu i teraz obudził się—zdawałoby mu się napewno, iż świat przeżywa jakąś komedję bez sensu, satyrę na siebie samego, na własne prawa, moralność, etykę, a nawet na prosty zdrowy rozsądek.

Także mógłby zrozumieć tego rodzaju wiadomość, przekazaną ostatnio telegraficznie z Chicago całemu światu: „Nareszcie odbyła się długo już oczekiwana konferencja przywódców chicagowskich bandytów. Al Capone objął zachodnią i południowo-zachodnią część miasta, Bucs Morain — północno-zachodnią, a John Arrel — pozostałe dzielnice. Na konferencji przeprowadzono ścisły podział terytorjów". Dla wyjaśnienia spraw spornych powołano specjalny sąd... honorowy.

Godność i tytuł „króla" został ostatecznie we władaniu Al Capone'a. Toast wzniesiony ku czci Jego Królewskiej Mości spotkał się z ogólnym uznaniem; po trzykrotnem hurra, wszyscy uczestnicy odśpiewali swój hymn „Chicago — nasz kraj, nasza chwała"...

Trudno wprost wyobrazić sobie podobną, tak pełną nastroju, scenę. Może, chyba w chwili przed zjednoczeniem państwa niemieckiego, gdy wszyscy udzielni książęta ogłosili Wilhelma cesarzem Rzeszy...

A drugi król, znany bandyta (zresztą nieznanych bandytów teraz niema) Jack Diamond, który teraz, niedawno padł ofiarą zamachu? Człowiek, mający na sumieniu życie dziesiątków, czy setek ludzi, wybiera się spokojnie w podróż do Europy, na kilkudniowe wakacje. Telegramy podają każdy szczegół jego wycieczki, każde wypowiedziane słowo, każdy ruch niemal, każdy uśmiech czy skrzywienie.

W Europie miast wsadzić go do pierwszego z brzegu więzienia. lub powiesić na mocnym stryczku — prowadzi się z nim rozmowy dyplomatyczne, pertraktuje się jak z przedstawicielem zaprzyjaźnionego mocarstwa. Wszak to sam Diamond, słynny Jack Diamond!... Do dziś dnia nikomu też nie wiadomo jakim cudem, napozór aresztowany, Diamond wrócił do Ameryki.

W ojczyźnie spotykały go tysięczne tłumy oraz setki policjantów, którzy... pilnowali porządku wśród zebranych, a dalej liczni detektywi, wyprężeni na baczność przed królem bandytów. Przecież nie codzień ma się okazję ujrzenia zbliska Jacka Diamonda!

Komu nawet do głowy nie wpadło, aby... naprzykład aresztować go. Kogo — Jacka Diamonda?

Otoczony fotografami i operatorami filmowemi, w towarzystwie swych kamratów opuścił okręt i w luksusowej limuzynie udał się, nie zatrzymywany przez nikogo, do swego pałacu.

Nie należy przypuszczać, aby w opowiadaniu tem było wiele przesady. Nie bardzo również przesadził korespondent „Journal'u", opisując następującą historję. „Król" Al Capone zabił prokuratora Swedgila. Ponieważ w danym wypadku nie było wątpliwości, kto jest mordercą, naczelnik policji chicagowskiej wezwał do siebie Al Capone'a i między tymi panami zawiązała się mniejwięcej taka rozmowa:



Sympatyczna fotografja dedektywa z Chicago, Francka J. Reinolds'a, który się wsławił w walce z bandytami i — jak przystało dla naszego artykułu o Ali Babie — zabił 12 złoczyńców.

— Czy pozwoli pan, mr. Capone cygarko... wcale niezłe...

— Dziękuję uprzejmie. Może pan sprobuje tego... prawdziwe hawańskie...

— Bardzo dziękuje... hm... hm... Jeżeli ośmielił bym się pana trudzić, co mógłby pan powiedzieć w sprawie Swedgila?

— Swedgil? — zapytał „król", wypuszczając kłęby wonnego dymu—a co to jest Swedgil? Czy to nazwisko? Nie znam.

— Ach w takim razie serdecznie przepraszam, jeżeli pan go nawet nie znał to przecież nie ma o czem mówić! Nie ośmielam się więcej trudzić... Proszę oto laseczka, kapelusik... śliczny ma pan kapelusz.

— Podoba się panu? Jutro przyślę panu taki sam. Tymczasem wszystkiego najlepszego.

— Moje uszanowanie. Bardo dziękuję.

— Drobnostka...

Majestat królewski jest nietykalny!

Puszczając jeszcze nieco dalej wodze fantazji, wyobraźmy sobie następującą scenę: „król" Al Capone zasiada w swym niedostępnym gabinecie urządzonym z całym przepychem, wokół telefoniści, maszyniści, telegraf bez drutu, aparat radjowe; vis à vis spoczywa dziennikarz z „Journalu", prowadzi rozmowę-wywiad.

Rozmówca jest bardzo uprzejmy, chętnie odpowiada na pytania, od czasu do czasu musi jedynie oderwać się od interesującej rozmowy: tyle spraw ma na głowie, trzeba dać parę pilnych rozkazów, rzucić odpowiedź do telefonu i t. p.

— Pan jest Francuzem? Ach, kocham Francję, mojem marzeniem jest zwiedzić Paryż... Niestety, nie pozwalają mi na to interesy... cóż mogę poradzić... praca i interesy, interesy i praca. Pyta mnie pan kim jestem? proszę się uspokoić, wyłącznie człowiekiem interesu. Nie rozumiem dlaczego wszyscy pragną widzieć we mnie bandytę ze spelunek podmiejskich, lub dla odmiany z jakiejś operetki... Czasy romantyzmu dawno minęły. Dawniej bandyta mógł być marzycielem czy poetą, dziś jest przedewszystkiem i wyłącznie kupcem. Mamy dobrze zorganizowane przedsiębiorstwo handlowe, płacimy swym członkom regularnie wysokie dywidendy... Dlaczego?... bo pracujemy z całym oddaniem dla naszych akcjonarjuszy... Mówiąc między nami to ja zabiłem tego biednego Swedgila. Z nienawiści? Nic podobnego. Bardzo go nawet lubiłem, ale on pragnął zmniejszyć dochody naszego przedsiębiorstwa, więc poprostu musiałem go usunąć z drogi... Każda porządna firma zrobiłaby to samo. Teraz naprzykład... Przepraszam na jedną chwileczkę...

„Król" powstał z fotelu, wystrzelił przez okno do jakiegoś człowieka i przekonawszy się, że tamten padł trupem — ciągnął dalej:

— Też bardzo był porządny człowiek—rzekł wskazując na nowego nieboszczyka — ale trudno, interes, monsieur, interes...

— Czy nie boi się pan, że go aresztują — spytał nieco zmieszany dziennikarz.

— Mnie? Aresztują? Cóżby wówczas miała policja do roboty? Za co im będą płacić pensję? Nas można łapać, ale złapać... dla nikogo nie byłoby to korzystne... Cóżby zresztą powiedziało moje miasto. Czy myśli pan, że mało ludzi zawdzięcza mi swoją egzystencję, a nawet bogactwo? Dziesiątki tysięcy, monsieur! Proszę się nie niepokoić... z tej strony niebezpieczeństwo mi nie grozi...

Audjencja była skończona.

Korespondent paryskiej gazety mógłby się łatwo przekonać o prawdziwości słów Al Capone: Chicago ubóstwia swego „króla". Al Capone, nie bacząc na swój tytuł, odnosi się do swych przyjaciół i podwładnych z całą prostotą i serdecznością. Jego samochód pancerny (z którego lubi strzelać na ulicach miasta) zna każde dziecko. Niema też wypadku, aby nie zamówił za duszę zabitego żałobnego nabożeństwa, które łaskawie zaszczyca niekiedy swą obecnością... Imię jego jest otoczone aureolą sławy i miłości. Może nawet w dni niedzielne i świąteczne wiernopoddańczo śpiewają swemu umiłowanemu bandycie „Boże króla chroń..."?

S. K.

PIERRE MAC ORLAN.

5)



Noc Marji Chantal

(La tradition de minuit)

Streszczenie poprzednich rozdziałów:

W małej kawiarence paryskiej, pod nazwą „Mal motyli“, zebrało się parę osób, wezwanych przez tajemniczą osobę, w sprawie jakiegoś olbrzymiego spadku. P opewnym czasie, postanawiai~ wezwać właściciela lokalu. Ku wielkiemu swemu przerażeniu zastają go zamordowanego we własnym pokoju. Zjawia się policja, która bada zebranych. Są to: Eligjusz Mutter, antykwarjusz, Marja-Chantal Fosseuse, śpiewaczka, Lucjan Flahaut, dziennikarz, Ludwik Fraipont, chłopiec garażowy i niejaki Saint-Thierry.

Jesienny chłód przyśpieszał jego kroki. Podniósłszy kołnierz palta, czuł ciepłą parę oddechu. Od czasu do czasu Saint-Thierry zatrzymywał się przed drzwiami knajpek. Ale w chwili kiedy portjer zapraszał go do wejścia, ruszał w dalszą drogę, pogwizdując machinalnie najłatwiejszy ustęp piosenki śpiewanej przez Marję-Chantal.

Saint-Trierry nie znał nikogo w Paryżu. Samotność zaczynała mu już ciążyć. Marja-Chantal, z której miał nadzieję uczynić swą kochankę tego samego jeszcze wieczora, kiedy naznaczyła mu spotkanie, nie przedstawiła go nikomu w „Czarnem Słońcu“.

— Ta kobieta nie ma żadnego towarzystwa — myślał Saint-Thierry. — To kobieta dyskretna, może uczuciowa... Może chora i kapryśna. Ma miłą twarz, twarz z przedmieścia Paryża, Romainville lub Lilas.

— Tak! — westchnął Saint-Thierry — ta kobieta ma twarz, która wywołuje pragnienie lub żal za krajem lub tylko pewnym widokiem. Przed dwoma laty mogłem komentować ten temat poetyczny w trzech językach. Dziś straciłem smak poezji francuskiej, hiszpańskiej i łacińskiej. O! przepraszam!

Rozmyślając w ten sposób, Saint-Thierry potrącił jakiegoś pana, który wyszedł z małego baru. Spojrzeli na siebie.

— Zdaje mi się, że się nie mylę... Czy był pan dziś w Auteuil?

— Tak jest — odparł Saint-Thierry — poznaję pana teraz. Pan Flamaut... Flataut...

— Jestem Lucjan Flahaut.

— Nazywam się Saint-Thierry. Bardzo się cieszę, że pana widzę. Czy ma pan czas? Chciałbym poczęstować pana śniadankiem o trzeciej nad ranem i butelką wina.

— Bardzo chętnie — odparł Lucjan Flahaut. — Szedłem właśnie do baru, gdzie zbierają się moi przyjaciele. Miałem nadzieję ,że spotkam tam dziennikarzy, którzy udzielą mi najnowszych wiadomości o naszej sprawie. Chce pan pójść ze mną?

— Oczywiście, oczywiście! — zgodził się Saint-Thierry skwapliwie.

— Zima będzie surowa w tym roku — oświadczył Lucjan Flahaut, patrząc obojętnie na niebo. — Mówią, że pszczoły podwoiły wastwę wosku i cebula ma potrójną łupinę.

— Dokąd idziemy?—spytał Saint-Thierry.

— Tutaj niedaleko, do małego kabaretu, odwiedzanego przez moich kolegów, na ulicy Lepic, do „Lisa“. Spotykamy się tam po wyjściu z redakcji. Sami dobrzy przyjaciele, same dobre przyjaciółki. A pan, cóż pan robi?

— Jestem lekarzem — odparł Saint-Thierry, — a dla rozrywki trochę piszę... Ogłosiłem w małem luksusowem wydaniu wspomnienia z podróży. Cały nakład rozdarowałem, zostało mi zaledwie pięć egzemplarzy. Pozwolę sobie ofiarować panu jeden, jeśli to sprawi panu przyjemność... tą drogą pozna mnie pan lepiej... Cóż pan mówi o tej sprawie?

— Muszę napisać coś na ten temat. Czytał pan gazety wieczorne?

— Jedną, czy dwie. Nie podają nic ciekawego... Wspomnieli zaledwie o tem, w jaki sposób wszyscyśmy się tam spotkali.

— Poranne gazety będą wyraźniejsze — zapewnił Flahaut. — Za chwilę będziemy mieli informacje. Gaudet, który zbiera tajne wiadomości w tej sprawie dla pewnej agencji, podzieli się z nami. Ja napiszę tylko główny artykuł o tem morderstwie, a resztę przekażę młodszemu koledze. Jestem krytykiem literackim, artystycznym i teatralnym...

— Wiem, widziałem już pana podpis— mówił Saint-Thierry, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że kłamie.

Flahaut nie był wcale zdziwiony. Wziął poufale Saint-Thierry‘ego pod ramię i nazywał go „swoim młodym przyjacielem“.

Zbliżyli się do „Lisa“, który świecił delikatnie zdaleka.

— Jesteśmy na miejscu. Wchodzę pierwszy — rzekł Flahaut.

Wszystkie stoliki były zajęte. Przy bufecie mężczyźni i kobiety tłoczyli się dokoła hiszpańskiej cyganki, ubranej w suknie różowe i błękitne z dzieckiem na ręku, przepowiadającej przyszłość z wyciągniętych dłoni.

Flahaut popchnął delikatnie cygankę, która zastępowała mu drogę, a Saint-Thierry szepnął jej z uśmiechem:

— Culebra.

Cyganka cofnęła się do drzwi, wyciągnęła obie ręce, wskazując dwoma palcami tego, który rzucał na nią czary. Wołała:

— Logarto! Logarto!

Kobiety spojrzały na Saint-Thierry‘ego

zdumione. Zadowolony ze swego sukcesu usiadł w głębi na ławeczce przy wolnym stoliku. Flahaut przysiadł się do niego, przywitawszy się uprzednio z kilkoma osobami. Twarz jego promieniała.

— Co pan jej powiedział?

— Nic ważnego. Aby rozgniewać hiszpańską cygankę, wystarczy wymówić przy niej nazwę węża. Wtedy ona stara się zażegnać czary, wołając „Logarto", nazwę małej jaszczurki, przez co uważa, że odżegna zło. Zjemy coś, dobrze? Jest pan moim gościem. Ten kącik jest zupełnie miły.

Podczas gdy kelner nakrywał do stołu i przyjmował zamówienie, Flahaut obserwował z zainteresowaniem swego nowego przyjaciela.

— Mieszkałem już kiedyś w Paryżu — opowiadał Saint-Thierry. — Urodziłem się w Barcelonie. Rodzice moi byli Francuzami, mieli w Hiszpanji księgarnie. Wróciłem do Francji, mając lat siedem. Skończyłem szkołę w Meaux, a studja medyczne odbywałem w Paryżu. Podczas wojny byłem lekarzem w jednym z pułków piechoty. Zostałem ranny w 17-ym roku. Teraz mam trzydzieści pięć lat.

— Nie wygląda pan na tyle.

— Wiem o tem. Wszyscy mi dają dwadzieścia pięć — osiem. W 1919 r. wyjechałem do Argentyny. Byłem tam rok. Miałem nadzieje, że zdobędę majątek. Gorzko się rozczarowałem. Wtedy próbowałem praktykować w Paryżu do 1927 r. I oto mi się nie udało. Wróciłem do Barcelony i zarobiłem pare groszy, prowadząc handel z Marokkiem. Wreszcie przyjechałem do Paryża, aby próbować sił na polu dziennikarskiem. Mówię po hiszpańsku i trochę po niemiecku. Mam nadzieję, że dostanę zajęcie reportera. Chciałbym odbywać dalekie podróże.

— Naturalnie — mówił Flahaut. — Może się udać, chociaż to nie jest łatwe. Czy ma pan stosunki?

— Nie znam nikogo.

— Może to i lepiej — rzekł Flahaut. — Lepiej nie znać nikogo, niż wiele osób niedostatecznie. Czy pan już pisywał kiedyś?

— Mały tomik poezji, wspomnienia z podróży. Sto stron. O tem właśnie mówiłem panu przed chwilą.

— Pan mi się podoba — powiedział Flahaut. — Nie wygląda pan na blagiera. Co się mnie tyczy, to mnie pan zna. Urodziłem się w Heyst, w zachodniej Flandrji. Mam czterdzieści pięć lat. W 1907 r. służyłem w Legji Cudzoziemskiej. Nie żałuję niczego w życiu. Wróciłem podczas wojny do armji belgijskiej. W 1916 r. zostałem ranny. W 1917 zwolniono mnie. Zostałem korespondentem wojennym w jednym z większych dzienników wieczornych. Niezły film.

— I mój nie jest najgorszy — mówił Saint-Thierry, zabierając się do połknięcia ostrygi. — Co za przypadek pozwolił nam się spotkać!

— Rzeczywiście, zabawna historja. Ale oto Gaudet... Powinien wiedzieć, czy policja coś wykryła. Kiedy imaginacja miesza się do tego rodzaju wypadków, policja jest zupełnie bezsilna. Gaudet!

Gaudet, wysoki, szczupły młodzieniec o czarnych, nieskazitelnie zaczesanych włosach, uśmiechnął się czarująco na widok Flauhat'a. Przysiadł się do jego stolika i zamówił odrazu coś „na przepłókanie gardła".

— Przedstawiam ci mego przyjaciela, doktora Saint-Thierry. Był z nami w „Balu Motyli", wezwany też przez tajemniczego Iksa. Wiesz coś nowego?

— Nie. Podają wasze nazwiska w porannych gazetach. Mam prowadzić badania dla mego dziennika. Spędziłem cały dzień i część nocy na Avenue de Versailles. Starałem się wyciągnąć na słówka sąsiadów, bywalców knajpki. Są między nimi różne typki, naprzykład pewna dziewczynka przezwiskiem Calamité Zozo, pochodzi z Martyniki: dawna kuchta, która dziś jest kurtyzaną z powoałnia. Jej najlepsi towarzysze uważają ją za najgorszą zarazę. Dlatego też przymknięto ją zaraz na początku, bardziej dla zasady niż z przekonania. Dziewczyna nic nie wie o całej historji, która nie jest bynajmniej zbrodnią z gatunku wulgarnych. Dowiedziałem się natomiast ciekawszych rzeczy o osobie starego wygi: Nöelle-Caid'a. Był podobno multimiljonerem. Przypuszczają, że rabunek był główną sprężyną zbrodni i że morderca, czy mordercy nie wyszli z pustemi rękoma. Co do Nöelle-Caid'a, to było to indywiduum dosyć ciekawe. Cały jego majątek mieścił się w jego pokoju. Szafa została rozbita, podobnie jak biurko. Morderca wszystko przeszukał: starą walizę i kufer. Nie zajrzał tylko do wnętrza dwóch starych mandolin, wypełnionych literalnie banknotami. Caid został zamordowany nożem, otrzymał trzy uderzenia w okolicy serca i na zakończenie jedno w szyję.

(D. c. n.)

Przypominamy o uiszczeniu prenumeraty na kwartał IV.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA.



Znaczenie słów.

Wyrazy pionowe:

a6 Stałe zajęcie.
b6 Król Sparty.
c6 Kocham (w jęz. staroż.).
e5 Zaimek osobowy.
d4 Rezultat działania, pracy (wspak).

Wyrazy poziome:

a6 Mędrzec starożytny.
a5 Mój (w j. włoskim) (wspak).
a4 Szybka, rychła.
a3 Wykrzyknik.
a2 Rzeka w Europie.
a1 Kamień drogocenny.

Nagrody

Za rozwiązanie krzyżówki z niniejszego N-ru przeznaczamy do rozlosowania nagrodę w postaci

25 Zł.

oraz 2 książki beletrystyczne. Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 5 listopada b. r.

NAGRODY.

Za rozwiązanie zadań z N-ru 38 nagrody otrzymują w wyniku losowania p.

25 złotych p. Pierzchlewski Kazimierz, Łomża, Szkoła Miernicza.

Książki beletrystyczne p. Jerzy Umiński, ułan — Grudziądz, Dyon Szkolny Podchorążych Rezerwy Kawalerji — 1 szwadron 3 pluton, oraz p. Roman Tyblewski z Warszawy.

Klub Urzędników Państwowych w Warszawie

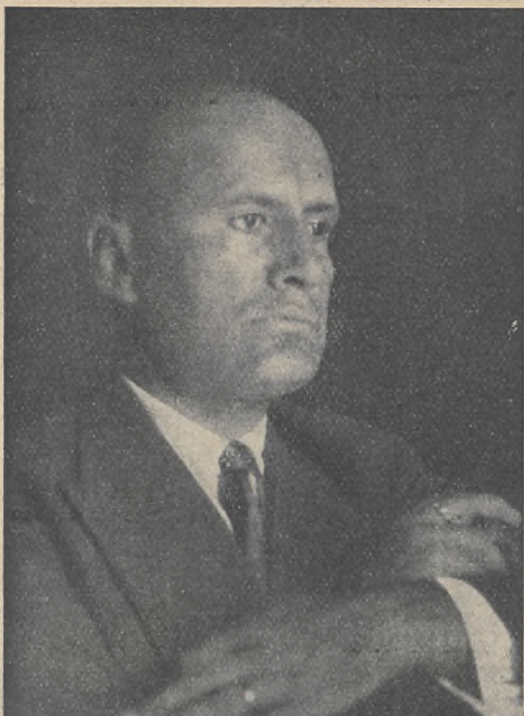


Obecny Zarząd Klubu. (Od pr. do lew. stoją): prezes — dyr. dep. Ogóln. Min. Skarbu, Jan Około-Kułak, gospodarz — nacz. wydz., Zenon Hartman, inż. Zygmunt Piotrowski. (Siedzą) — nacz. wydz. Czesław Jankowski, doradca artystyczny Klubu ref. Władysław Skibiński i skarbnik — nacz. wydz. Leonard Kowalewski.



Klub Urzędników Państwowych w Warszawie stanowi bardzo cenną placówkę dla licznych rzesz ludzi, którzy poświęcili się służbie państwowej. Przestronna siedziba klubu, mieszcząca pięknie urządzoną salę balową, jadalnię, czytelnię i t. d. jest nader starannie utrzymana dzięki zabiegliwości członków Zarządu.

(fot. J. Malarski).



Benito Mussolini.

Wśród książek

Benito MUSSOLINI. Kochanka Kardynała. Przekład Adama Michalskiego. Okładka projektu Jana Mucharskiego, str. 176. Wydawnictwo Alfa, 1930.

Nazwisko Mussoliniego, zdobiące książkę „Kochanka Kardynała", sugeruje czytelnikowi treść, opartą na uwagach czy enuncjacjach natury politycznej. Tymczasem autor występuje tu niejako w charakterze prekursora tak modnej obecnie bjografji romansowej, żywo i barwnie kreśląc wizerunek duchowy ostatniego potomka rodu Madruzzów. Znakomicie zwłaszcza podmalowane jest tło lokalne: epoka, gdzie możnowładztwo jednostki deptało prawa ogółu, gdzie wrogów politycznych bez skrupułu wtrącało się do więzienia, gdzie nie sąd rozstrzygał, lecz skrytobójczy sztylet lub trucizna, wsypana cichaczem do kielicha podczas uczty. Taką śmiercią zginęła piękna donna Klaudja, mimo niezaprzeczonych cnót, mimo niezłomnej wierności zwana kurtyzaną-kochanką kardynała. Wszelkie zło w księstwie tryenckiem przypisywano jej tajemnym machinacjom, wszelkie zarządzenia kardynała — jej wpływowi, gdyż istotnie stary człowiek był całkowicie opętany ostatnią jesienną miłością u schyłku swego życia. Próba wystąpienia z łona Kościoła, celem poślubienia ukochanej, spotkała się z bezapelacyjnym zakazem ze strony papieża. Kardynał wybrał więc drogę inną: oznajmił otwarcie wobec zebranych prałatów i księży, że tylko pod przymusem nie zrzuca purpury kardynalskiej, i że żąda od kapituły ulegalizowania występnego związku. Kler — aczkolwiek hołdujący potajemnie duchowi epikureizmu — żądał zachowania pozorów nazewnątrz.

Kompozycja powieści jest bez zarzutu: w splocie powikłanych intryg żywo i plastycznie występują postaci działające, w malowaniu tego fresku literackiego znać rozmach i siłę, przypominającą najlepsze powieści Mereżkowskiego. Swoboda w traktowaniu tematu z epoki tak odległej zdradza niepowszednią erudycję, wyczucie konfliktów społecznych znamionuje nerw przyszłego męża stanu. Nie bez pewnego posmaku aktualności jest dla nas stosunek władcy do Watykanu.

M. W.

Jesień





Jesień — ten okres zasypiania przyrody, na długą zimę cechuje specyficzna gama barw i melancholji. Złoto — żółte liście, zaściełające obficie ogrody, lasy i pola, szare skiby zoranej roli, układającej się do zimowego odpoczynku posiadają w sobie wiele piękna i kolorytu. I tylko coraz częściej rozlegają się trąbki i jazgot psiarni, goniącej lisa lub jelenia.





„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE.
Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna: kwartalnie 8 zł., półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 35. Telefon 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 117-98 i 504-46.